

ZAMACH NA «KORDIANA»

FAKTY są autentyczne, nie-
stety. Mogą je potwierdzić
aktorzy a także część publiczności.
I jedni i drudzy komentują
zapewne po dzień dzisiejszy in-
cydenty, których widownią był
Teatr Polski — 2 grudnia 1965,
podczas przedstawienia dramatu
J. Słowackiego pt. „Kordian”.

„Zaraz na początku spektaklu —
stwierdzają wykonawcy — oprócz
tradycyjnego szeleszczenia papier-
ków, odgłosów do których już
zresztą zdążyło przywyknąć nasze
aktorskie ucho, z widowni zaczęły
dobiegać popiskiwanie, trzaskanie
krzesel, chrząkanie, głośne uwa-

gi, wywołujące z kolei śmiech w
momentach bynajmniej dla takiej
reakcji niestosownych. Nie po-
mogły interwencje widzów nastawio-
nych bardziej serio do nas, do
utworu Słowackiego i do instytu-
cji zwanej teatrem w ogóle. Na
początku II aktu różniąc się, nie
poprzestając na efektach aku-
stycznych, zaczęli celować w nas
kawałkami żelaza, śrubkami, ka-
mieniami, aby jeszcze bardziej
urozmaicić nudny, ich zdaniem,
wieczór teatralny”.

„Tak mówią aktorzy. Dodajmy
od siebie, iż 2 grudnia miejsc na
widowni wrocławskiego teatru nie
zajęły chuligańskie gangi tego
miasta. Sprawcy zajęć mają nie-
wiele ponad 15 lat. Noszą grana-
towe mundurki i tarcze na rękach.
Są uczniami wrocławskich
i pozawrocławskich szkół śred-
nich, zawodowych i licealnych. Są
otoczeni niezbędną w ich wieku
opieką pedagogiczną. Mają lekcje
wychowawcze i pogadanki. Zna-
komitej większości, podczas ostat-
niej klasyfikacji wystawiono ze
sprawowania stopień bardzo do-
bry. A jednak wypadki z dnia 2
grudnia są prawdziwe.

Nie tylko zresztą te. Incydenty
o których piszemy stanowią za-
ledwie przyczynek do szerszego
zjawiska, na które pragnęlibyśmy
zwrócić uwagę władz oświato-
wych. Kłopoty z przedstawienia-
mi szkolnymi są bowiem pow-
szeczne.

Przed kilku miesiącami wro-
cławska prasa doniosła, iż w
Teatrze „Rozmaitości” młodzi wi-
dzowie urozmaicali sobie
czas, strzelając z procy w tyłki
wykonawczyń. Jako amunicji uży-
wano kawałków drutu, przy czym
jak wspominają posiadaczki pięk-
nych nóg, raczej nie pudłowano.
Podobnie działo się podczas szkol-
nego spektaklu „Popiołów”. W Ra-
fała Olbromskiego i Krzysztofa
Cedre rzucono kawałkami drutu,
ogryzkami jabłek, pestkami. Żeby
udowodnić, iż problem nie zamy-
ka się w wydarzeniach dwóch
czy trzech takich właśnie wie-
czorów, przypomnijmy słynne
przedstawienie „Makbeta” w bieł-
skim teatrze dramatycznym. Wy-
prowadzony z równowagi wyko-
nawca głównej roli opuścił wów-
czas scenę, na którą tego wieczó-
ru już nie wrócił. Tylko zawo-

dowa rutyna i silniejsze nerwy
pozwolily Adamowi Hanuszkiewi-
czowi dotrzeć bohatersko do koń-
ca na spektaklu „Berénika”. Niem-
niej w momencie szczególnie ha-
łaśliwych odgłosów z widowni, nie
zważając na liryczną rozmowę
prowadzoną z ukochaną, przerwał
na parę minut akcję i wypalił
pedagogiczną mowę adresowaną
do młodzieży. (niżej podpisana
była świadkiem tego). Mowa nie
na wiele się zresztą zdała. Tego
wieczoru ukochana młodzież miała
bowiem w pięcie zarówno autora
„Beréniki” jak i Hanuszkiewicza.

Każdy dyrektor teatru, każdy
aktor mógłby uzupełnić nasze re-
lacje własnymi spostrzeżeniami.
Przedstawienia szkolne przynoszą
bowiem zawsze doświadczenia oso-
bliwa. Z przytoczonych faktów
wynikałyby zatem dwa, logicznie
po sobie następujące zakończenia.

Zakończenie pierwsze: NA TE-
RAZ: Następnego dnia, w imie-
niu poszkodowanych aktorów wi-
dze teatru wystosowały w tej
sprawie pismo do Kuratorium.
Powiadomiono dyrektorów szkół.
Ci wszczęli śledztwo, odszukano
winnych, przeprowadzone rozmo-
wy z rodzicami. Rozrabiaczom
w trybie doraźnym natarto uszu.
Potencjalnym zaś rozrabiaczom
zapowiedziano, iż w wypadku ja-
kichkolwiek wybryków, zostaną
bez pardonu wydalenii ze szkoły.
Uczyniono, jak stwierdzają wła-
dze oświatowe, wszystko, co moż-
na było w tej sytuacji zrobić.

Czy jednak środki natury re-
presyjnej, mogą rozwiązać teatral-
ne kłopoty do końca? Wszak mają
one charakter doraźny. Przeciwi-
dzają skutkom, nie wnikając
zupełnie w przyczyny wybryków.
Zła należy szukać poza murami
teatru. A zatem proponujemy:

Zakończenie drugie — NA
PRZYSZŁOŚĆ: Właściwych przy-
czyn poszukajmy we wzajemnym
stosunku dwóch instytucji. Szko-
ły i teatru.

Szkola teatru potrzebuje. Jego
pomoc w wychowaniu młodzieży,
wykształceniu w nim zaintereso-
wań, nawyków kulturalnych, jest
niezbędna. Szlachetne źródło za-
kazania bakcytem sceny — jak
mawiają pedagodzy. Teatr szkoły
potrzebuje również. Jest to bo-
wiem główny dostawca przyszłych
wielbicieli Melpomeny.

Takie są zasady tej obopólnej
miłości i taka teoria. A w prak-
tyce? Podwoje świątyni sztuki
są, co prawda, dla młodzieży sze-
roko otwarte, rzeczą w tym, iż
młodzi widzowie niezbyt chętnie
te podwoje przekraczają. Takie
wrażenie wyniosłam z lektury pa-
funastu dzienników szkolnych, w
których, dla porządku odnotowuje
się również wydarzenia kultural-
ne. Obok wycieczek w góry, wy-
jazdów do stolicy, tradycyjnego
wojażowania na Wawel, znajdu-
jemy w nich zapisy dotyczące
wspólnych wizyt w teatrze. Nie-
wiele tego. Dwa, trzy razy do
roku. W szkołach typu zawodo-
wego jeszcze rzadziej. Nie nale-
ży chyba do wyjątków młody ro-
botnik, mieszkaniec półmiliono-
wego miasta, absolwent jednej z
wrocławskich szkół zawodowych,
który w ankiecie na tematy kul-
turalne pisał: „W prawdziwym
teatrze byłem raz w życiu. Na

początku drugiej klasy. Autora
ani tytułu sztuki nie pamiętam”.

Sporadyczne wizyty sprawiają,
iż trudno tu właściwie mówić o
programowej edukacji przyszłego
widza, o systematycznym rozbud-
zaniu w nim chęci do podjęcia
szlachetnego flirtu z Melpomeną.
Szkola do takich uczuć specjalnie
nie zagrzewa. A szkoda. Bo oto
w epoce telewizji, na co warto
chyba zwrócić uwagę, pierwsze
doświadczenia teatralne zdobywa
się przed ekranem telewizyjnym,
gdzie repertuar bywa różny i
gdzie nie obowiązują, jak wiado-
mo, konwencje teatralnego savoir
vivre'u. Sartra można oglądać i
z nogami na stole. W prywatnym
pomieszczeniu wiele uchodzi. Jest
to uwaga na marginesie, chyba
jednak nie bez znaczenia. Nawy-
ki — rzecz podstawowa.

Najgorsze jest wszakże to, że
młodego człowieka, widza bez
elementarnej wiedzy o teatrze, a
na dodatek bez jakiegokolwiek
teatralnego obycia, z miejsca rzu-
ca się na głęboką wodę. Na kla-
syków. Tradycja stała się już
w szkołach „zaliczanie” Mickie-
wicza, Słowackiego, Szekspira. Za-
sady są proste. Im klasyk trud-
niejszy, tym lepszy. W każdych
warunkach. Nawet po całodziennej
gonitwie po Warszawie (gorzkie
doświadczenia wycieczkowe).

Skutki? Bardziej zdyscyplino-
wani siedzą cicho, nic a nic nie
rozumieją i nudzą się. Z krąbr-
niejszymi bywa różnie. Tak jest
teraz. W przyszłości, wobec sta-
łego rozwoju techniki i maso-
wych form rozrywki, kłopoty bę-
dą się potęgować. Coraz trudniej
będzie przekonać młodzież do tra-
dycyjnego teatru ze sceną, wi-
downią i autentyczną kurtyną.
Wielka konkurencja współczesno-
ści. Można przewidzieć, iż nie wy-
starczy tu, już zresztą nie wy-
starcza, działalność represyjna.
Trzeba po prostu zacząć od przy-
słowiowego pieca, od opracowania
rozsądnych programów edukacji
młodego widza, od nawiązania ści-
słych kontaktów z teatrem. Trze-
ba zacząć uczyć teatru, tak jak
uczy się dzieci czytania i pisania.
Od alfabetu, a nie od encyklo-
pedii.

ZOFIA KIELAN